

MARYŚ W „KLOSIE” GRO

MARIAN DZIĘDZIEL, AKTOR:

Strach myśleć o tym, że czas tak pędzi.
Świat jest piękny i człowiek
jak najpóźniej chciałby go opuszczać.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Które Święta szczególnie zapadły Panu w pamięci?

MARIAN DZIĘDZIEL: Pierwsze po utracie rodziców, one są szczególnie dotkliwe.

A te śląskie, spędzane w Gołkowicach, z czasu dzieciństwa?

Rodzinne i radosne. W Wigilię jedliśmy zupełną rybą, a nie barszcz, jak to jest w zwyczaju w Krakowie. Popularne były jeszcze makówki, moczona w mleku i miodzie bułka z makiem, rodzynekami i innymi bakaliami, a do tego moczka, robiona z piernika z czekoladą i powidłami. Był jeszcze śledź opiekany tradycyjnie, podawany w zalewie octowej, wyjątkowo smaczny, moja mama znakomicie go przyrządzała.

Co Aniołek Panu przynosił w prezencie?

Ojciec był Aniołkiem i robił z drewna cudne zabawki – klocki, pajacyki, kukiełki. Pracował jako górnik, ale z zamiłowania był stolarzem. Umiał zrobić wszystko, w tym narty. Sanki to ja miałem najładniejsze we wsi – potężne, ze zdobionymi płozami, trzy osoby mogły na nich usiąść. Kiedyś, jeszcze przed Wigilią, znalazłem buty do łyżew, które z tyłu, na obcasie, miały blaszki, by dało się je przyczepić i przykręcić specjalnym kluczykiem. Rodzicom o odkryciu nie powiedziałem – nie chciałem psuć świątecznego nastroju.

Ojciec uczył Pana stolarki?

Kiedy ciął dechę, a była długa, to ją niekiedy przytrzymywałem, by mógł obciąć równiutko

i precyzyjnie. Tyle miałem do czynienia ze stolarką.

Ojciec obdarzony był nieprawdopodobną charyzmą – prowadził w Gołkowicach amatorski teatr i jeszcze potrafił załatwić rozmaite sprawy – gminne czy parafialne.

W tym amatorskim teatrze grywał główne role?

Organizował i reżyserował, więc grywał... W „Zemście” był Papkinem. Dobrze pamiętam „Zaczarowane koło” – był nawet choreograf, a kostiumy wypożyczone były z katowickiego Teatru im. Wyspiańskiego.

Czasem do przedstawienia dopraszał kogoś z chóru, ze związku strażaków, sportowców. Na żywo grywała wiejska orkiestra Miercole. Do przedstawień ojciec wykonywał dekoracje, wycinał drzewka, bo las był potrzebny. A sztuka „Klimczok” tak się podobała, że zjeździł z nią kilka powiatów.

Spektakle odbywały się w sali widowiskowej w Gołkowicach, gdzie była bina, czyli scena. Wszystko dość małe, ale wystarczające, by odegrać amatorskie przedstawienie. Nie było telewizji, więc to było wydarzenie, schodziła się wieś, w tym dużo młodzieży. Czasem do Gołkowic przyjeżdżało też kino – wyświetlali animacje, do dziś pamiętam zachwyty kolorami na ekranie.

Ojca podziwiałem, zachwyciałem się nim na scenie. Do aktorstwa miał dryg, dobrze to robił – tak to oceniam z perspektywy czasu. Poza tym, gdy odbywało się przedstawienie, ➔



→ z mamą mieli wspólne wyjście. Dochodziła mamie inna rozrywka, nie tylko skubanie pierza. To skubanie bardzo lubiłem – kobiety zbierały się zimą u jednej gospodyni, piekło się pączki, one rozmawiały nie przerywając pracy, a my, dzieci, bawiliśmy się.

Dziś jak wygląda Pana rodzinna wieś?

Nie zmieniła się wiele. Ale burzony akurat jest dom, w którym się urodziłem.

To boli?

52 lata minęły, odkąd stamtąd wyjechałem. Czyli chwilę temu. Strach myśleć o tym, że czas tak pędzi. Świat jest piękny i człowiek jak najpóźniej chciałby go opuszczać. Boli tego świadomość.

Co w świecie jest pięknego?

Wszystko! Dlaczego pani się patrzy w takim zdumieniu? Od nas zależy, co chcemy tu zobaczyć. Jasne, jest i masa zła, ale to my, ludzie, sobie je gotujemy.

Najtrudniej jest wtedy, kiedy ktoś bliski odchodzi. Jest żal, jest ból, jest pytanie: dlaczego? Ale z czasem człowiek oswaja się, uznaje, że to kolej rzeczy, że życie w ten sposób jest uregulowane.

A najpiękniejsza w świecie jest przyroda – jej poznawanie daje siłę. Zamiast pójść na siłownię, której kiedyś nie było, to ja siłę zdobywałem na łonie natury.

Proszę o tym opowiedzieć.

Na Podhalu mam ukochane miejsce, w górach, w cudnym lesie. Zdarzały się okresy, że byłem w stanie niemal cały dzień przesiedzieć tam na grzybach – od 7 rano do 16 po południu. Teraz już mi nie wypada, wtedy byłem trochę młodszy, więc darłem się niemiłosiernie. Śpiewałem pieśni religijne – „Pójdź do Jezusa, do niebios bram”, „Jezusa ukrytego mam w sakramencie czcić”. Byłem ministrantem, a teraz, na starość, przypomina mi się wszystko z dzieciństwa. Mówią, że jak przypominają się rzeczy z jakiegoś okresu, to tyle jeszcze będzie się żyło. A ja dopiero pamiętam sytuacje z mojego 14. roku życia. Dobrze, że nie z czasu, kiedy miałem rok. Bo to znaczy, że Bóg mi dał jeszcze na świecie chwilę.

Żałuję bardzo, że nie mogłam usłyszeć Pana w tym lesie.

Ale ja nie śpiewałem jak zawodowy śpiewak, który nie śpiewa byle gdzie i byle jak. Czasami darłem się wniebogłosy – echo mi się podobało, mogłem z nim rozmawiać. Ciekaw byłem, czy powie mi ono coś ciekawego i czy będzie ze mną cały czas. Kie-

dy indziej śpiewałem po cichutku, by się wzruszyć.

Czym się Pan wzruszał?

A na przykład taką piosenką śląską – „Płyniesz Olzo po dolinie”. Proszę posłuchać: „Płyniesz Olzo, po dolinie, płyniesz jak przed laty, takie same na twym brzegu kwitną wiosną kwiaty. A twe wody w swoim biegu się nie zamąciły. I tak samo lśnią się w słońcu, jak się dawniej lśniły”.

Albo „Upływa szybko życie”. Tak to idzie: „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas, za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas. Za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas. I nasze młode lata upłyną szybko w dal, a w sercu pozostanie tęsknota, smutek, żal”.

Kwintesencja nostalgii.

A w podstawówce, w szkolnym chórze śpiewałem solo „W letni dzionek o poranku”. Potem zaśpiewałem to na egzaminie wstępnym do szkoły teatralnej.

O tym egzaminie krążą legendy.

Z akcentem śląskim recytował Pan Mickiewicza. Został Pan przyjęty pod warunkiem, że poprawi Pan wymowę polską.

A mój ojciec bał się, że się nie dostanę i to będzie gańba.

Nie wierzył w Pana?

Jak mógł wierzyć, skoro w szkole na jedno miejsce było 14 kandydatów? A ja byłem chłopak z Gołkowic, jeszcze na bakier z tym polskim akcentem. Ale już po pierwszym etapie, po którym przeszedłem dalej, ojciec uznał, że zostałem przyjęty. I tak we wsi mówił. A ja miałem do zdania jeden jeszcze etap i konkursowy egzamin.

Komisja zobaczyła młodzieńca o niebieskich oczach i pewnie uznała, że będzie z Pana świetny amant.

I jako amant po studiach zostałem zatrudniony do Teatru Słowackiego. Zagrałem amanta dwukrotnie, reszta to były role charakterystyczne. Nie mam aparycji amanckiej, nie pasują mi żaboty.

Po studiach w szkole teatralnej myślałem o wyjeździe z Krakowa – może do teatru we Wrocławiu, a może do Katowic, wtedy miałbym bliżej do Gołkowic. Na czwartym roku wystawiliśmy świetny dyplom – „Dozorcę” Pintera – przyszło go zobaczyć wielu profesorów, m.in. Bronisław Dąbrowski, ówczesny dyrektor Teatru Słowackiego. Już po spektaklu, koło szatni, zobaczyłem, jak męczy się z założeniem płaszcza, więc zaoferowałem mu się z po-

mocą. Zapytał: „Gdzie idziesz do teatru?”. Odpowiedziałem: „Jeszcze nie wiem”. On: „Jutro w południe w moim gabinecie”. Tak dostałem angaż. Oraz pokój po Jerzym Kamasie – z oknem, z piecem i skrzynią na węgiel na balkonie. Pięć lat tam mieszkałem.

A w Słowackim przepracował Pan ponad 40 lat.

Pierwsze ważne role grałem u Jerzego Golińskiego, bardzo dużo się od niego nauczyłem. W 1971 r. zagrałem Jozafata w „Księdzu Marku” Słowackiego. Rola była niewielka, ale wymagania ogromne. Goliński katując mnie, uczył zawodowości. Pokazał, że każda rola jest tak samo ważna, każdy epizod. Kiedyś powiedział: „Ty pieprzony efebie! Charakter diabła, a twarz jak dupcia niemowlęcia. Nic na niej nie ma”.

Czego jeszcze nauczył Pana Goliński?

Najważniejsza jest w graniu głowa – myśleć, myśleć i jeszcze raz myśleć. Nie zastanawiać się „jak?”, tylko „co?” – najistotniejszy jest sens. I przez głowę wzmocnić serce.

Mówi Pan teraz o emocjach?

Lubię wiedzieć, jak reżyser myśli o materiale. Zadaję mnóstwo pytań, dziesiątki razy dzwonię, czasami może nawet zadrezczam. W trakcie prób staram się nigdy nie sprzeniewierzać literze tekstu i wizji reżysera, a jednocześnie chcę pojąć mechanizmy, które nakazały zachować się postaci w ten konkretny sposób. Przed spektaklem na ogół jestem w kontrze, walczę ze sobą i z rolą. W trakcie przedstawienia czy w czasie kręconego ujęcia wszystko mija: staje się postacią.

Ktoś jeszcze ważny był w Słowackim?

Bogdan Hussakowski, uczciwy człowiek, solidny reżyser. Ogromnie żałuję, że tak wcześnie odszedł. Mówił piękną polszczyzną. Kiedyś siedzieliśmy w garderobie Solskiego, to jest tzw. „dwójka” w Teatrze Słowackiego, i on daje mi uwagi, jak zwykle celne. Ja go słucham i słucham. „Marian, rozumiesz?” – pyta. Ja: „Nie, ale tak pięknie mówisz, że mogę słuchać całą noc”.

Wygląda na to, że ma Pan szczęście do ludzi.

Mam. Nie opuszcza mnie od szkoły podstawowej. Miałem świetną klasę: byliśmy zaprzyjaźnieni i jeden za drugiego by wskoczył w ogień. Niedawno obchodziliśmy siedemdziesiątkę, odbyło się spotka-

nie. Najpierw uczestniczyliśmy we mszy, potem był obiad, żarty i wspomnienia.

W liceum też trafiłem dobrze: niemal wszyscy skończyli studia. Jednej koleżance groziło, że nie zostanie dopuszczona do matury. Wtedy nasz kolega wstał i powiedział: „Panie profesorze, tam jest dużo dzieci, ona naprawdę się uczy i zda tę maturę przy naszej i pana pomocy”. I profesor, porządny człowiek, dopuścił ją do matury, a jak jej nie szło, to też umiał tak działać, by egzamin zdała.

A w podjęciu studiów aktorskich utwierdzał mnie Andrzej Dragon, dziś uczony. W liceum interesował się literaturą, był inteligentny, czytany, wiersze recytował dużo lepiej ode mnie. To jemu pierwszemu powiedziałem, że chcę zdać na aktorstwo. To on pożyczył mi „Moje szekspiriana”. We wstępie Stanisław Helsztyński porównuje „Sen nocy letniej” i „Balladynę”. Gdy wchodziłem już na egzamin, byłem bardzo zdenerwowany – studenci, którzy wpuszczali na salę, mówili, że na pewno będę pytany z Szekspira. Cały czas w głowie powtarzałem tytuły jego sztuk, potrafiłem wymienić siedemnaście. Wchodzę więc, a profesor Górecki, znakomity facet, który nie dawał poniżej czwórki, ponieważ szkole przyniosłoby to wstyd, zapytał mnie o Słowackiego. Słyszac „S”, z automatu mówię: „Hamlet”. Speszony poprawiam się: „»Horsztyńskiego« miałem na myśli”. A drugi profesor mówi: „Tak? To może pan porówna jakiś utwór Szekspira i Słowackiego?”. No to ja wyrecytowałem. „Dziękujemy panu, znakomicie”. I było po egzaminie wstępnym.

I znowu to szczęście.

W szkole teatralnej też trafiłem na wyjątkowy rok. Nie dam rady wszystkich wymienić, ale pamiętam każdego. Jurek Trela, Mikołaj Grabowski, Zygmunt Józefczak, Jurek Fedorowicz, Leszek Teleżyński, Henryk Talar, Urszula Popiel, Halina Wyrodek, Teresa Kamińska, Maja Wiśniowska... Walczyliśmy o to, by mieć dobrych nauczycieli, chcieliśmy się jak najwięcej nauczyć i dbaliśmy, by między nami nie było ansów.

A Kraków? Polubił Pan miasto? Ono bywa zamknięte na przybyszów.

Zachwyciłem się nim, pewnie też ze względu na ludzi z roku łatwiej było go oswoić. Podpisałem już umowę z Teatrem Słowackiego, musiałem jeszcze tylko wyjechać na szkolenie wojskowe. Szedłem na dworzec i w okolicach Poczty Głównej przeszła mi myśl: „Nigdy już nie wrócisz

Cały czas się kłócić

z własnym życiem?

Nie ma to sensu.

Ale walczyć o swoje trzeba.

I nie tracić nadziei.

do Gołkowic...”. Dotarło do mnie, że teraz mój dom to Kraków.

Jako aktor występował Pan w najbardziej krakowskich miejscach – w Piwnicy pod Baranami i w Jamie Michalika.

Nie bardzo co miałem robić, nie chodziłem za tym, nie zabiegałem o to, żeby ktoś pisał mi piosenki. Po śmierci Wiesława Dymnego w Piwnicy wskoczyłem w rolę dla niego napisane.

Pamiętam, że od Zbyszka Preisnera dostałem piosenkę „Sadźmy przyjacielu róże” do tekstu Seweryna Goszczyńskiego. Zygmunt Konieczny i Jurek Wysocki pisali dla mnie, ale ja nie miałem ciągu do śpiewania, to nie mój żywioł. Potem przeszedłem do Jamy Michalika – dostałem propozycję od Mariana Cebulskiego. W Jamie nie zarabiał się jakoś szczególnie, ale program był dobry.

Pracę w kabarecie można porównać do tej w filmie, w którym mówię monolog czy prowadzę dialog i moim widzem jest wyłącznie kamera, a jej nie da się oszukać. Tu jest podobnie: stoję dwa metry od widowni i każda reakcja jest widoczna. Dzięki temu dostaję bezpośredni sygnał i to mi daje pole manewru.

A film? Zadebiutował Pan w „Stawce większej niż życie”, w odcinku „Liść dębu”. Był rok 1968.

Wiadomo, co to za film – bajka o cudownym oficerze. Sympatyczna fabuła, znakomici aktorzy. W Gołkowicach mówili: „Maryś w »Klosie« gro”. Pamiętam dzień zdjęciowy, kiedy kilka razy w czasie ujęcia pomyliłem imię Janka. Chyba siedem dubli musiałem zrobić.

A na czwartym roku studiów Kazimierz Kutz dał mnie i kolegom szansę zaistnienia na planie najpierw „Soli ziemi czarnej”, a potem „Perły w koronie”. Trzeba było powiedzieć dwie kwestie, tak naprawdę to pokrzyczeć po śląsku. Ale dla mnie wtedy to była szansa. Poza tym Kutz Ślązakom pomaga. Z propozycjami zwracał się do mnie zawsze wtedy, kiedy w graniu miałem przerwę.

Ale to nie Ślązak stał się dla Pana najważniejszym reżyserem, tylko człowiek z Podkarpacia – Wojtek Smarzowski. Spotkaliście się na planie „Gier ulicznych” Krzysztofa Krauzego.

Nawet nie chciałem iść na zdjęcia próbne, żona mnie tam wypchnęła. A tam chodził facet z kamerą; to był Wojtek, pracował nad dokumentem z planu. Nie wiedziałem, kim jest. Ale mu się przyglądałem; potem okazało się, że obserwowaliśmy siebie nawzajem. Rolę Wojnara w „Weselu” Wojtek już pisał specjalnie dla mnie.

Nie do końca wierzyłem, że to zagram, byłem chwilę przed sześćdziesiątką. Producent wołałaby pewnie, by Wojtek obsadził aktora z bardziej rozpoznawalną twarzą. Ale Smarzowski, sam debiutant, dał mi szansę.

Z aktora ról drugoplanowych przeszedł Pan na pierwszy plan, i to nie tylko w filmach Smarzowskiego. Te kilkanaście ostatnich lat to chyba Pana najlepszy czas pod względem zawodowym. Myśli Pan o życiu w kategoriach, że coś było lepsze, a coś inne – gorsze?

Czas jest dla mnie ciągłością. Najpierw budowałem, zbierałem doświadczenia, „nażywałem”. Później zacząłem to wykorzystywać i gromadzić nowe doświadczenia. A potem przyszedł moment, kiedy miałem szansę to wszystko wykorzystać i nadal się uczyć.

Wygląda na to, że jest Pan pogodzony z losem.

Cały czas się kłócić z własnym życiem? Nie ma to sensu. Ale walczyć o swoje trzeba. I nie tracić nadziei.

W jednej z pierwszych sztuk, w której grałem, w „Kuligu” Wybickiego, śpiewałem: „Nadziejo, zawsześ mi miła, tyś mego życia ozdobą, tyleś mnie razy zdradziła, ja zawsze tęsknię za tobą. Przeszłość się nam już nie wróci, następność ustannie śpieszy, choć nas coś w życiu zasmuci, nadzieja wkrótce pocieszy”.

©

Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

MARIAN DZIEDZIEL (ur. 1947) jest aktorem filmowym i teatralnym. Pochodzi ze Śląska, przez wiele lat związany z Teatrem Słowackiego w Krakowie. Słynął z wyrazistych ról drugoplanowych, od kilku lat jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich aktorów. Regularnie współpracuje m.in. z Wojciechem Smarzowskim, u którego grał w „Weselu”, „Domu złym” i „Róży”.